

# GRUPA WAGNERA

— — —  
I INNE PRYWATNE  
ARMIE ŚWIATA



ARTUR  
GÓRSKI

AUTOR BESTSELLERÓW  
O POLSKIEJ MAFII

FILIA

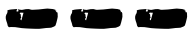


**ARTUR  
GÓRSKI**

**GRUPA  
WAGNERA**



**I INNE PRYWATNE  
ARMIE ŚWIATA**



**FILIA**



## OD AUTORA

**K**iedy kończyłem pisać tę książkę, jeden z jej głównych bohaterów, Jegwienij Prigożyn, jeszcze żył... To znaczy, rosyjskie służby, a zaraz za nimi – światowe media – jeszcze nie ogłosiły katastrofy lotniczej, w której zginął szef Grupy Wagnera i kilku jego najbliższych współpracowników. Eksperci i komentatorzy, odnosząc się do dramatu, który rozegrał się 23 sierpnia 2023 roku w obwodzie twerskim na zachodzie Rosji, zgodnie konstatawali, że Prigożyn był już martwy od czasu, kiedy wraz ze swymi najemnikami ruszył na Moskwę, aby obalić władze federacji. To, że na jakiś czas zaszył się w białoruskich lasach i zniknął z medialnego pola widzenia, a potem zaczął wypowiadać się w tonie pojednawczym, nie miało już żadnego znaczenia – Moskwa wyciągnęła po niego swe długie ręce i w końcu dosięgnęła zbuntowanego miliardera.

No, ale teraz był martwy – już nie symbolicznie, a jak najbardziej dosłownie.

Pojawił się pewien oczywisty problem: pisałem książkę o żywym człowieku i jego armii osiągającej sukces za sukcesem, a tymczasem nastąpił gwałtowny upadek i Grupy

Wagnera, i jej właściciela. W tej sytuacji najprościej byłoby zamienić czas, oczywiście pod względem gramatycznym – tam, gdzie było „jest”, wpisać „był”. No, i wykreślić kilka zdań, z których wynikało, że przed Prigożynem jeszcze długa kariera... Ale im dłużej analizowałem bieżące doniesienia, tym bardziej wzbudzały one moją wątpliwość – skąd wiemy, że Prigożyn naprawdę nie żyje, skoro ciała ofiar nie da się zidentyfikować? Owszem, przeprowadzono badania DNA, które potwierdziły jego śmierć, ale czy możemy mieć pewność, że Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej, który wydał stosowne oświadczenie w tej sprawie, nie rozmija się z prawdą?

To, że wielu życzyło Prigożynowi śmierci – nie tylko Władimir Putin czy Siergiej Szojgu – było jasne. Tak samo jak to, że zorganizowanie zamachu nie stanowiłoby dla Kremla *mission impossible*. W mojej głowie jednak zapaliła się ostrzegawcza czerwona lampka, gdy podano do publicznej wiadomości, że jedną z ofiar katastrofy był legendarny dowódca Grupy Wagnera – Dmitrij Utkin – stanowiący w jakimś sensie twarz tej organizacji. Przecież według wielu medialnych spekulacji – o czym piszę w tej książce – Utkin mógł umrzeć już dawno temu, a nawet jeśli tak się nie stało, z pewnością nie był już wpływową postacią w Grupie Wagnera. Ba, w ostatnim czasie w jego rolę wcieliło się kilku ludzi, którzy przybrali tożsamość Utkina, być może po to, aby udowodnić, że ten prawdziwy nigdy nie istniał. A jeśli istniał, to nie pełnił tych funkcji, które mu się przypisuje.

W *Grupie Wagnera* (...) opisuję też działalność tak zwanej farmy trolli Prigożyna, która wyspecjalizowała się w produkowaniu fake newsów i w ogólnym fałszowaniu rzeczywistości. Tak naprawdę już od czerwca 2023 roku obserwujemy ciąg wydarzeń, które pod każdym względem wydają się być nielogiczne, a wręcz absurdalne: marsz na Moskwę jako reakcja na ostrzelanie stanowisk Grupy Wagnera przez rosyjską armię, ucieczka kremlowskich dygnitarzy przed zbuntowanymi najemnikami, nieoczekiwany koniec rebelii, wkroczenie do gry prezydenta Białorusi, który w jakimś sensie przejął kontrolę nad wydarzeniami w Rosji, wreszcie zapewnienie Putina, że nic się nie stało... A potem – ni stąd, ni zowąd – wielkie bum!

Jeśli taki, potocznie powiedzielibyśmy – cyrk – rozgrywałby się w jakiejś tzw. republice bananowej, można by przyjąć, że podobne wydarzenia po prostu przerosły rządzących. Ale w takim mocarstwie jak Rosja afera wokół Grupy Wagnera musi mieć nie tylko pierwsze, ale drugie, a może i trzecie dno. Być może Prigożyn faktycznie nie żyje, ale... niewykluczone, że, jak śpiewał pewien zespół, *Show must go on*, a medialna śmierć kucharza Putina jest częścią tego show. Oto Putin pokazał, że mocno dzierży ster władzy i nikomu już nie przyjdzie do głowy, żeby próbować podważać jego pozycję. I nie jest to sygnał wysłany do Ukrainy, ale choćby do wysokich oficerów rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU, którym nie do końca podoba się polityka szefa Kremla. A wiadomo, że GRU nie jest

faworytem Putina – jego zaplecze stanowią szefowie Federalnej Służby Bezpieczeństwa, której przypisuje się zamach w obwodzie twerskim. I FSB zrobiło to, czego oczekiwał prezydent... Ale czy rzeczywiście zginęli wszyscy, którzy byli na liście pasażerów? Kraj znajduje się w stanie wojny, czyli w stanie, w którym wszelkie mistyfikacje są dozwolone. Żeby było jasne – nie należę do wielbicieli teorii spiskowych, ale przecież działalność Grupy Wagnera i informacyjnych firm Prigożyna jest jednym wielkim spiskiem, więc wszelkie wątpliwości nasuwają się od razu. Oto, dlaczego w niektórych miejscach nie zmieniłem „jest” na „był”, choć wiem, że być może powinienem.

Zresztą, jeśli Prigożyn naprawdę nie żyje, w wielu środowiskach zostanie obwołany narodowym męczennikiem czy wręcz świętym i wtedy znów... będą go widywać, wierząc, że to nie jest urojenie, a dowód na istnienie nieśmiertelności.

Książka ta opowiada jednak nie tylko o Grupie Wagnera – sięga także zamierzchłych czasów, gdy najemnicy stanowili podstawę działań militarnych, a nie uzupełnienie rządowych sił zbrojnych. Kilka rozdziałów poświęciłem też legendarnym psom wojny, którzy pojawili się na frontach afrykańskich wojen po II wojnie światowej.

Dzisiejsze konflikty zbrojne to także w dużej mierze zmagania najemników i – co wynika z tej książki – pojawiają się oni w sferach, których wcześniej nikt nie kojarzył z tak zwanymi militarnymi kontraktorami. Już nie tylko biorą udział we frontowych potyczkach, ale przejmują



kontrolę nad przestrzenią wirtualną czy świadczą rządowi usługi w zakresie inwigilacji obywateli. Są ważnym narzędziem w ręku władz mocarstw.

Z drugiej strony zaś, Grupa Wagnera i Blackwater razem wzięte mogą tylko pomarzyć o takim sukcesie, jaki osiągnęli starożytni najemnicy obalający... cesarstwo zachodniorzymskie. To, co wydarzyło się w 476 roku nie było efektem jakiegoś wielkiego starcia wojowniczych ludów, które przemieszczały się w stronę Europy, ale po prostu szybką akcją najemników pod wodzą Odoakra, który postanowił obalić swego władcę – Orestesa. Ten bowiem nie miał zamiaru odpowiednio wynagrodzić usług swoich kondotierów i ci się zbuntowali, zabijając satrapę, a następnie przejmując kontrolę nad imperium. Z pewnością renesansowy myśliciel Niccolò Machiavelli, który ostrzegwał włodarzy Florencji, aby nie ufali najemnikom, doskonale znał tę historię. Pytanie, czy znał ją również Prigożyn, ruszając na Moskwę – gdyby wówczas udało mu się obalić administrację Putina, byłaby to sytuacja niezmiernie przypominająca tę sprzed ponad półtora tysiąca lat. Ale powtórki z czasów końca antyku nie było. No, chyba że ukaże się wspomniane wcześniej drugie dno afery Prigożyna i stanie się coś na o wiele większą skalę...

*Artur Górski*



## WSTĘP

**C**at Shannon nie zginął na polu walki – sam strzelił sobie w łeb w ciemnym lesie, bo chciał umrzeć na własnych warunkach. I tak, jak to sobie wyobrażał: z bronią w ręku, krwią w ustach i kulą w piersi.

Nie groziła mu żadna zemsta ze strony tych, z którymi prowadził wojnę. Wyrzuty sumienia, które dręczyły go po tym wszystkim, przez co przeszedł w Afryce, dałoby się znieczulić mocnym alkoholem. Niestety lekarz, który obejrzał małe czarne znamię na jego karku, nie pozostawił złudzeń: zostało mu najwyżej kilka miesięcy życia, a ostatni z nich może być wyjątkowo paskudny.

Shannon widział niejedną śmierć, broń była jego nieodłączną towarzyszką i dlatego uznał, że z tej sytuacji jest tylko jedno w miarę honorowe wyjście. Tubylcy, którzy widzieli, jak idzie na ten swój ostatni spacer, wspominali, że coś tam sobie pogwizdywał... Nie mieli pojęcia, że był to popularny niegdyś szlagier *Hiszpański Harlem*.

Tak naprawdę w tej opowieści prawdziwa jest tylko ta piosenka – wyjątkowo pogodny utwór, śpiewany przez Bena E. Kinga, gwiazdę amerykańskich estrad sprzed ponad pół

wieku. Sam Shannon, najemnik, został zmyślony przez Fredericka Forsytha – słynnego brytyjskiego pisarza, autora powieści *Psy wojny* wydanej po raz pierwszy w 1974 roku. Cała jej akcja to także autorska kreacja, choć... niezupełnie. To wszystko, co stało się udziałem Shannona, wydarzyło się w rzeczywistości, tyle że zupełnie inaczej.

Na mapie świata nie ma i nie było takiego państwa jak Zangaro, nikt też nie widział na oczy jego dyktatora – pułkownika Kimby. Nie istniały także opisane przez Forsytha koncerny, które zdecydowały się sfinansować przewrót w Zangaro, mający na celu obalenie tyrana i przejęcie kontroli nad wielkimi złożami platyny znajdującymi się w tym afrykańskim kraju.

A jednak ci, którzy choć trochę interesowali się polityką międzynarodową, od razu wiedzieli, że pisarz puszcza oko do czytelników: może i nie ma Zangaro, ale jest Kongo, Biafra, Angola czy Komory. Na Czarnym Lądzie wybuchają wojny domowe, podsycane przez europejskie mocarstwa, które nie potrafią na dobre wynieść się ze swoich dawnych kolonii i wciąż próbują sprawować nad nimi kontrolę. W szczególności nad złożami naturalnymi, takimi jak ropa naftowa czy złoto.

I są też najemnicy – byli żołnierze elitarnych jednostek, którzy nie mają zamiaru rozstawać się z bronią i są gotowi wyruszyć na front. Nie wynika to z pobudek patriotycznych, nie chodzi nawet o pieniądze – po prostu o to, aby wciąż być w akcji, aby robić to, do czego ich zdaniem powołał ich Bóg. Bóg wojny.

Forsyth, który sam zetknął się z afrykańskimi konfliktami (oficjalnie jako dziennikarz, ale wielu nie wyklucza, że miał też do wykonania inne zadania – czego się już nie da udowodnić), doskonale poznał realia wojen prowadzonych przy użyciu najemników i można zaryzykować stwierdzenie, że *Psy wojny* – do pewnego stopnia – mają charakter reportażu i opowiadają o ludziach, którzy naprawdę istnieli.

Wojny afrykańskie przełomu lat 60. i 70. były złotym czasem dla najemników – do kompanii mógł dostać się każdy, kto potrafił posługiwać się bronią i miał jakieś pojęcie o realiach frontowych. Dlatego w szeregach najemniczych oddziałów stawali ramię w ramię byli żołnierze brytyjscy, ci z sił zbrojnych rządu Vichy oraz... wojskowi III Rzeszy. W Afryce dawne animozje przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie – teraz byli razem, stanowili jedną zacieźną rodzinę. Ówczesni najemnicy byli znacznie gorzej uzbrojeni niż ci, którzy biorą udział we współczesnych konfliktach XXI wieku – latali na samolotach z czasów II wojny światowej i nadal posługiwali się bronią palną z tego okresu. W pewnym sensie byli oni (nawet jeśli zabrzmi to nieco niezręcznie) wzorowymi romantykami – mieli poczucie misji i wypełniali ją, nie zastanawiając się nad tym, czy wrócą z tarczą, czy na tarczy.

Ani czy walczą w słusznej sprawie.

Zakończenie wojen w Kongu czy na Komorach, wcale nie oznaczało końca zapotrzebowania na najemników – wręcz przeciwnie: o ile wcześniej bywali wyjęci spod prawa,

a rządy nie przyznawały się do ich wspierania, to w kolejnych dekadach stali się pracownikami firm ochroniarskich, tyle że pracujących w krajach o podwyższonym ryzyku; firm działających (przynajmniej w teorii) w ramach prawa i zgodnie z rezolucjami ONZ. Coraz więcej państw prowadzących zagraniczne działania zbrojne zaczęło korzystać z ich usług – byli przeważnie skuteczniejsi od żołnierzy zawodowych (a już na pewno poborowych), nie kosztowali więcej niż utrzymanie regularnych sił zbrojnych i za swoją pracę nie domagali się orderów czy awansów, a jedynie zaakceptowania faktury. Kiedyś, dla mężczyzny wstępującego na ścieżkę wojskowej kariery, szczytem marzeń była służba w elitarniej jednostce typu Delta Force. Dziś jednostki specjalnego przeznaczenia są jedynie przystankiem na drodze do zatrudnienia w prywatnej armii, takiej jak choćby Blackwater (dziś Academi). Wiadomo, że z umiejętnościami wyniesionymi z treningu wojskowej elity, można stać się najbardziej pożądanym i najlepiej opłacanym pracownikiem sektora Private Military Company.

To, że w toku trwającej obecnie wojny na Ukrainie tak wielką rolę odgrywają najemnicy z Grupy Wagnera, ale nie tylko, nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem.

Rośnie nie tylko liczba tego typu przedsiębiorstw tj. prywatnych armii, ale także ośrodków szkoleniowych, w których najemnicy... przepraszam, pracownicy ochrony, podnoszą swoje kwalifikacje niezbędne do wzięcia udziału w operacjach o charakterze militarnym.

Podczas wojny za naszą wschodnią granicą, śmierć poniosło już kilkadziesiąt tysięcy najemników (nie podaję nawet przybliżonej liczby, bo ta rośnie każdego dnia). To pokazuje, jak wielu ludzi decyduje się na taki zawód i mimo że może to ich kosztować życie, to chętnych do pracy w wojsku najemnym nie brakuje.

Psy wojny żyją i zawsze są gotowe skoczyć do gardła...





## ROZDZIAŁ I

### Syria – rosyjski poligon

**P**almyra, znajdująca się na syryjskiej pustyni, na północny wschód od Damaszku, to miejsce, gdzie znajdują się wyjątkowo cenne zabytki. Jednym z nich są ruiny rzymskiego miasta wzniesionego na przełomie II i III wieku n.e., które zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Podobno skarby Palmyry do tego stopnia zafascynowały europejskich podróżników przybywających tu w XVIII wieku, że postanowili oni zaszcześcić jej ducha w kulturze Zachodu. I tak narodziły się podwaliny klasycyzmu...

Jednak w późniejszych wiekach tym, z czego zasłynęła Palmyra i jej okolica, była ropa naftowa – w najlepszych czasach na pustynnych polach produkowano do kilku tysięcy baryłek ropy dziennie. Kiedy rozpoczęła się wojna domowa w Syrii, islamscy bojownicy postanowili za wszelką cenę zdobyć miasto, oczywiście nie ze względu na starożytne zabytki – te akurat zniszczyli (m.in. dwie świątynie i łuk triumfalny ku czci cesarza Septymiusza

Sewera). Natomiast w antycznym teatrze zaczęli wystawiać ponure spektakle – publiczne egzekucje.

Rząd w Damaszku postawił sobie za cel odzyskanie Palmyry, choć można mieć wątpliwości, czy chodziło o ratowanie dziedzictwa kulturowego. Pomimo wytyczonego celu siły rządowe były zbyt słabe, żeby mogło udać się odbicie miasta, dlatego władze skorzystały z oferty Rosji, która zadeklarowała Syrii (mimo protestów m.in. Turcji) pomoc wojskową.

Wkrótce na pustyni rozpętało się piekło. Na syryjskim niebie pojawiły się rosyjskie myśliwce i helikoptery, a stanowiska bojowników Państwa Islamskiego zostały zbombardowane. Z takim przeciwnikiem islamiści nie mieli szans, więc po krótkiej walce wycofali się z Palmyry.

Do miasta wkroczyli ludzie w mundurach, którzy jednak nie byli żołnierzami żadnej regularnej armii. Należeli do prywatnej firmy świadczącej usługi z zakresu bezpieczeństwa w krajach o podwyższonym ryzyku. To oni mieli czuwać nad tym, aby do miasta już się nie przedostał żaden zwolennik Państwa Islamskiego.

Razem z nimi pojawili się przedstawiciele rosyjskiej firmy Evro Polis, należącej do niejakiego Jewgienija Prigożyna – biznesmena, który dorobił się na prowadzeniu eleganckich lokali gastronomicznych (zaczynał od budki z hot dogami), a następnie, dzięki znajomości z włodarzami Kremla, rozwinął skrzydła także w innych sektorach.

Jego Evro Polis specjalizowało się w wydobywaniu ropy naftowej (tak się składa, że w tej dziedzinie Rosjanie są

prawdziwymi fachowcami i dlatego propozycja wspólnych działań w tej sferze wydała się władzom w Damaszku korzystna). Zresztą, bądźmy szczerzy, skoro to dzięki Rosjanom udało się wypędzić islamistów z Palmyry, prezydent Baszszar al-Asad i jego najbliższe otoczenie nie mieli tu zbyt wiele do gadania. Evro Polis oznajmiło, że zadowolony się „jedynie” dwudziestoma pięcioma procentami zysków z wydobycia ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Umowy zostały natychmiast podpisane.

Wtedy też pojawiły się pierwsze informacje, jakoby Prigożyn – jeden z powierników prezydenta Władimira Putina – miał być szefem najemniczej firmy, która ochrania miasto-widmo, a przede wszystkim otaczające je pola naftowe.

Czy rzeczywiście to on ją stworzył? Tu trudno dotrzeć do prawdy, bo sam Prigożyn przez długi czas wypierał się związków z nią, a wręcz zaprzeczał jej istnieniu. I prawdopodobnie na samym początku nie odpowiadał nawet za jej działalność. Powiedzmy, że stał się jej twarzą, ale nie był jej ręką. Przynajmniej do czasu.



Trudno powiedzieć, czy Dmitrij Utkin kiedykolwiek słucał swojego ukochanego Wagnera w operze. A jeśli tak, to czy bardziej podobał mu się majestatyczny i mroczny *Pierścień Nibelunga* czy też dość pogodny i sielski *Latający*

**W czasie wojny w Ukrainie ogromną rolę odgrywali najemnicy z Grupy Wagnera. I choć istnieją już od wielu lat, to teraz zwrócili na siebie uwagę całego świata.**

**PMC (Private Military Company), czyli najemnicy, psy wojny, byli żołnierze elitarnych jednostek.**

**Ludzie, którzy nie potrafią rozstać się z bronią i są gotowi w każdej chwili wyruszyć na front. Nie z pobudek patriotycznych, czasami nawet nie dla pieniędzy. Po prostu po to, aby wciąż być w akcji, aby robić to, do czego ich zdaniem powołał ich Bóg. Bóg wojny.**

**Rośnie nie tylko liczba tego typu przedsiębiorstw, ale także ośrodków szkoleniowych, w których najemnicy podnoszą swoje kwalifikacje. Podczas wojny w Ukrainie śmierć poniosło kilkadziesiąt tysięcy najemników – to pokazuje, jak wielka jest skala ich zatrudnienia. I mimo tego, że ich praca wiąże się z najwyższym ryzykiem, chętnych nie brakuje. Psy wojny wciąż żyją i zawsze mogą skoczyć do gardła...**

FILIOTEKA.PL

wydawnictwofilii.pl



**FILIA**

**NA FAKTACH**

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8280-968-8



9 788382 809688